

MARÍA ORUÑA
Ukryty
port

Przełożyła
Joanna Ostrowska

Originally published under the title *Puerto escondido*

María Oruña, 2015

All rights reserved

© Editorial Planeta, S. A., 2015

Ediciones Destino es un sello de Editorial Planeta, S. A.

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2023

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Pliś

Korekta: Monika Karolczuk

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © James Peacock/Unsplash

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3533-1

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: SKLENIARZ • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Artis cream 70 g vol. 2.0

LATO

OBECNIE

Za sprawą przesuającego się za szybą krajobrazu powoli zanurzał się w atmosferę lata, gdzie królowały radość, lekkość i beztroska.

Niemal czuł wrzenie tętniącej życiem rybackiej miejsciny, która odżywała każdego lata, zalewana przez tłumy przybyszów z nieskąpanych słonym morzem i słońcem miast w głębi kraju, którzy pragnęli oderwać się choćby na chwilę od pracy i rutyny. Na pocztówkowym obrazku panował chaos – zabudowania здаwały się nie podlegać żadnym planom urbanistycznym, pstrzyły zielone łąki niczym kwiaty rumianku.

Oliver poczuł, że wreszcie się odpręży, choć jazdę prawą stroną szosy trudno było uznać za relaksującą dla zmysłów londyńczyka nawykłego do ruchu lewostronnego. Powoli minął Masera de Castío, której północna ściana wznosiła się nad wioską Cortiguera, południowa zaś schodziła do miasteczka Hinojedo. Osobliwy płaskowyż wyrastał z ziemi niczym prostokątna przeszkoda, przypominał wielki, szeroki zydel jakiegoś miejscowego boga.

W miarę jak Oliver zbliżał się do miasteczka, zabudowa stawała się coraz gęstsza, domy wyrzywały sobie nawzajem metry kwadratowe gruntu, walcząc o malownicze widoki i prawo

do sielskiego szczęścia, jakie zapewniało zakotwiczenie się na tej ziemi.

Dokładnie w momencie, kiedy zobaczył tablicę z napisem „Witamy w Suances”, na szosie zrobił się korek. Oliver domyślił się, że w stronę plaży, niczym długa, spocona dżdżownica, sunie karawana samochodów pełnych parasoli, kremów do opalania, kolorowych ręczników oraz wiaderk i łopatek, spod których wyjdą koślawe zamki z piasku.

Westchnął, przewidując, że spędzi za kierownicą jeszcze trochę czasu. Przeczesał dłonią ciemne, gęste włosy i marszcząc swój rzymski nos, powiódł niebieskimi jak kobalt oczami po krajobrazie, który rozciągał się po jego prawej stronie: estuarium San Martín de la Arena – zwane przez miejscowych Requejada – rozszerzało się w stronę morza, wijąc się łagodnymi meandrami. Z szosy widział wyraźnie, jak rzeka żłobi dolinę ciągnącą się pod łagodnym klifem. Dla zabicia czasu zaczął wciskać guziki radia w czarnym fiacie 500L, który dostał wypożyczalni, a który wydawał mu się wybitnie babski. Nie robił sobie specjalnie nadziei, ale nagle, bez zapowiedzi prezentera, w ciszy rozbrzmiały najpierw spokojne dźwięki pianina i klasycznej gitary, a chwilę później wewnątrz auta wypełnił męski, melodyjny głos.

Od razu rozpoznał tę smutną piosenkę: *Let her go* Passenera, mówiącą o tym, że doceniamy dopiero to, czego już nie mamy.

Oliver nie potrzebował żadnej piosenki, żeby wspominać Annę, jej długie rude włosy, proste jak linia horyzontu na pustyni. Choć jej rysy zaczęły się zacierać w jego pamięci, zawsze miał ją w sobie, stała się częścią jego ciała, niewidoczną raną

w piersi, która nie chce się zabiżnić. Muzyka przeniosła go do tamtych ostatnich dni, odległych, pustych, ujętych w nawias.

– Chodź tu. Dobrze się czujesz?

– Tak, oczywiście. Co za pytanie. Powiedz mi lepiej, czy ty się dobrze czujesz – odparł ze skrywaną troską.

– Musimy porozmawiać. – Patrzyła na niego z wyższością osoby przekonanej, że nie ma już nic do stracenia. – Chcę, żebyś się trochę rozerwał, poznał nowych ludzi, znalazł sobie kogoś. Nie przeszkadza mi, jeżeli to będzie tydzień albo godzinę po tym, jak... Nie przeszkadza mi to, rozumiesz?

– Nie opowiadaj głupot. Gdyby cię nie było, nie umawiałbym się z jedną dziewczyną, ale z dwudziestoma tygodniowo – odpowiedział. – Poza tym wszystko będzie dobrze, koniec kropka. A jak nie, idę balować, więc wybieraj – dodał, puszczając do niej oko.

Odpowiedziała uśmiechem, ale w jej spojrzeniu malowała się już pustka.

– Oliverze, oboje wiemy... – Westchnęła zmęczona, niemal parsknęła i popatrzyła mu w oczy. – Oliverze – powtórzyła – szczęście pełne, prawdziwe, to szczęście, które się z kimś dzieli.

– Nie rób mi tego.

– Nie robić ci...? – zaczęła, ale wszedł jej w słowo.

– Nie żegnaj się.

STOP. W samą porę, chociaż posuwał się naprzód tak wolno, że biały napis „stop” na czerwonym ośmiokącie, który wyrósł na prawym poboczu, wydawał się spletanym przez szosę psikussem. Powrócił z przeszłości, z meandrów własnego umysłu, przywołany przez drogę, krajobraz i namolne pikanie komórki.

– Halo? Tak? Słucham? – odebrał, marszcząc brwi i starając się wyostrzyć wzrok, jakby w ten sposób mógł poprawić zasięg.

– Oliver Gordon? – zapytał męski głos. Wydawał się dobiegać z bardzo daleka, w tle huczała orkiestra młotków, wiertarek i czegoś, co brzmiało jak piła tarczowa.

– Tak, to ja. Kto mówi?

– Rafael Bernárdez, wspólnik Antonia z firmy budowlanej... Pamięta mnie pan? Kilka tygodni temu rozmawialiśmy przez telefon.

– Ach, faktycznie. Oczywiście, że pamiętam, pan jest majstrem, prawda? Jak wam idzie? – zapytał Oliver.

Po drugiej stronie linii przez moment panowała cisza.

– Dobrze... – Znowu cisza. – Akurat jestem w pańskiej willi z ekipą murarzy i ze stolarzem. Muszę panu coś powiedzieć... to pilne. Może pan teraz rozmawiać?

– Prowadzę, ale chwilowo stoję w korku, więc tak, mogę rozmawiać.

Ze słuchawki dobiegło chrząknięcie, jakby rozmówca zastanawiał się nad doborem słów.

– Eeeee... Zamierza pan szybko wrócić z Anglii?

Oliver zaczął się niecierpliwić, mimo to odpowiedział z uśmiechem:

– Zależy, co pan rozumie przez „szybko”. Dzisiaj rano wylądowałem w Bilbao i mam jakieś piętnaście minut drogi do Suances. Więc tak, wrócę szybko, o ile pozwoli mi na to karawana letników. Można wiedzieć, co się dzieje? Jakiś problem z remontem?

– Co za ulga, że już pan przyleciał. Spodziewałem się pana dopiero za jakiś tydzień czy dwa.

– Wiem. Ale do rzeczy, panie Rafaelu: co się stało?

– Stało się to, że znaleźliśmy coś między ściankami działowymi w piwnicy... No wie pan, tam, gdzie mieliśmy zrobić salę zabaw dla dzieci.

Oliver westchnął, unosząc brwi. Zredukował bieg do jedyńki, żeby dopasować prędkość do reszty samochodów, które teraz wlokły się w ślimaczym tempie.

– Okej, cóż to takiego? Skała nie do przewiercenia, zardzewiałe rury, sekretny pokój...? Dlaczego to taka pilna sprawa?

„I taka tajemnica”, pomyślał, uśmiechając się z rezygnacją. Jakiej to absurdalnej odpowiedzi udzieli mu majster? Wolna nostalgiczna piosenka leżąca z radia kontrastowała z niepokojem, który zaczynała budzić w nim ta rozmowa.

– Widzi pan, w takich sprawach należy postępować ostrożnie, bo mogą nam wstrzymać prace, ale oczywiście do pana należy decyzja, co robimy i czy mamy poinformować władze. Ja tam nie wiem.

Oliver był coraz bardziej poirytowany.

– Powie mi pan wreszcie, do cholery, co było zamurowane w tej ścianie? Jeżeli rzymskie amfory, to je sobie zatrzymamy – zakpił. – A może drzemie tam kuzyn Draculi? – dodał ironicznym tonem, unosząc brwi.

– Nie. – Majster postanowił zignorować sarkazm Olivera. Po drugiej stronie znów zapadło milczenie, zakłócanie jedynie przez nieustające stukanie młotka. – To... zwłoki niemowlaka, panie Gordon. Kurwa, zwłoki niemowlaka! – powtórzył i wypuścił powietrze, jakby pozbył się informacji, która mu fizycznie ciążyła.

W tym momencie prezenter radiowy przerwał piosenkę i zaczął omawiać nowości z list przebojów. Ale Oliver już go nie słyszał. Kiedy skończył rozmawiać z majstrem, poleciwszy mu, żeby na niego zaczekał, otoczyła go głucha cisza. Prowadził samochód niczym lunatyk, mechanicznie, wsłuchany w walenie swojego serca. Wreszcie po piętnastu minutach agonii za kierownicą dotarł do willi i prowadzony przez Rafaela znalazł się w miejscu spoczynku małej istotki. Schodząc do piwnicy, zdał sobie sprawę, że oto wstępuje do grobowca.

*Od czasu do czasu warto zboczyć z drogi i zagłębić się w las.
Znajdziesz tam rzeczy, jakich nigdy nie widziałeś.*

Alexander Graham Bell (1847–1922)

Sierżant Riveiro zaparkował nieoznakowany radiowóz Gwardii Cywilnej przed wejściem do domu, na fasadzie którego widniała mała tabliczka z nazwą „Villa Marina”.

Dziwiło go, że akurat tu znaleziono zwłoki – w domu, który codziennie mijają dziesiątki osób udających się do latarni morskiej lub na plażę Los Locos, dwóch spośród atrakcji tej wąskiej odnogi lądu wcinającej się w morze. Willa znajdowała się przy samym wejściu na cypel, na ostatnim zakręcie plaży La Concha.

Sam mnóstwo razy przechodził tędy z żoną i dwójką małych dzieci, przekonany, że budynek jest opuszczony, że właściciele pomarli, a cena willi znacznie przekracza możliwości finansowe większości śmiertelników. Tymczasem okazało się, że posesja jednak do kogoś należy – kogoś, kto próbując tchnąć w nią życie dzięki gruntownemu remontowi, natknął się na śmierć.

Riveiro pracował w wydziale śledczym policji sądowej kantabryjskiej komendantury Gwardii Cywilnej w Santanderze. Kiedy zgłoszono znalezienie zwłok, szefowa wydziału, porucznik Redondo, postanowiła wysłać tu jego, jako że miał duże doświadczenie w sprawach o zabójstwo, a poza tym dobrze znał okolicę, bo kilka lat wcześniej pracował na posterunku w Suances.

Riveiro wysiadł z samochodu i przez chwilę przyglądał się mężczyźnie, który nie zauważywszy jego przybycia, krążył nerwowo po ogrodzie imponującej willi, obsadzonym hortensjami, figowcami, krzewami mirtu i tropikalnymi drzewami.

Podszedł do kaprała Antonia Mazy z posterunku w Suances, który wraz z innym gwardzistą jako pierwszy zjawił się na miejscu zdarzenia. Maza w zamyśleniu obserwował plażę La Concha, usianą kolorowymi parasolami nawet w środku tygodnia. Chudy, rudowłosy trzydziestolatek o oczach dziecka z uśmiechem wodził wzrokiem za jakimś konkretnym bikini.

– Maza, pobudka.

– Pan wybaczy, sierżancie, zapatrzyłem się. Niektórzy to mają dobrze. Proszę spojrzeć, z willi wychodzi się prosto na plażę – powiedział, wskazując schodzącą w dół ścieżkę zasłoniętą przez chwasty, krzaki i drzewa, od lat nieprzycinane.

Riveiro powiódł wzrokiem za palec kaprała i dostrzegł na końcu tej zaniedbanej dżungli wąską czarną furtkę z żelaza, przez którą wychodziło się na drobny, żółty piasek plaży La Concha.

Nieco niżej, na prawo od ścieżki, stał spory budynek z kamienia i bali o trudnej do zdefiniowania architekturze, coś pomiędzy kanadyjską stodołą a zabudową charakterystyczną dla gór Kantabrii. Riveiro pomyślał, że ta dziwna konstrukcja tu nie pasuje – musiała powstać w innym czasie niż dom, w którym znaleziono zwłoki. Przez kilka sekund przyglądał się imponującej willi wzniesionej na szczycie pagórka: brązowe framugi wielkich okien kontrastowały ze śnieżnobiałymi ścianami, łączyła w sobie style kolonialny i francuski i na oko została wybudowana co najmniej pół wieku temu.

Roztaczał się stąd wspaniały widok na plażę La Concha, estu-
rium i skalistą, trudno dostępną Wyspę Królików.

– Powiedz mi lepiej, co tu mamy – poprosił Riveiro kaprała
Mazę.

– To, co mówiłem przez radio, sierzancie. Zwłoki, prawdo-
podobnie niemowlaka, owinięte jak mumia w stare poźółkłe
prześcieradła. Muszą tam leżeć od wieków.

– No tak. – Riveiro pokiwał głową. – Rozumiem, że zabez-
pieczyłeś teren i przykazałeś, żeby niczego nie dotykać – upewnił
się, patrząc kapralowi w oczy.

– Oczywiście. Kiedy zadzwoniłem z informacją na komendę
w Santanderze, od razu poprosiłem, żeby przysłali nam SECIRM.

– Technicy kryminalistyki są już w drodze? Wspaniale, dobra
robota. A co z sędzią i patologiem?

– Zawiadomieni, zaraz tu będą. Potwierdziłem – odparł Maza,
próbując ukryć pełen zadowolenia uśmiech.

– Nieźle, Maza, należy ci się dziś medal za zasługi. Kto jest
w środku...? Martín? – zapytał Riveiro, mając na myśli znajo-
mego gwardzistę, który tak jak kapral pracował na posterunku
w Suances.

– Tak, pilnuje robotników, rozmawia z tymi, którzy znaleźli
zwłoki.

– Co tam robili? Pewnie remontowali willę. – Riveiro odpo-
wiedział sam sobie, omiatając wzrokiem rusztowania, betoniarkę
i złożone przy jednej ze ścian materiały budowlane.

– Zaczęli roboty dwa miesiące temu. Właścicielem jest ten
gość, co łązi w kółko – powiedział Maza i wskazał dłonią Olivera,
który spojrzał w ich stronę, jakby go usłyszał.

– Przesłuchałeś go już? – zapytał Riveiro, ruszając w stronę domu.

– Nie, zadałem mu tylko kilka podstawowych pytań. Czekalem na pana.

– W porządku. Idę obejrzeć zwłoki, a ty powiedz temu tutaj, że zaraz przyjdę z nim porozmawiać. Słuchaj, Maza... może byś tak łaskawie zaczął mówić mi na ty? Znamy się chyba już jakieś osiem lat.

– Tak jest, sierżancie. Odtąd będę mówił do pana na ty.

Riveiro się uśmiechnął.

– Dobra, idź już.

Kapral Maza skinął głową i ruszył w stronę Olivera, Riveiro tymczasem wszedł do willi. W środku przywitał go Martín, który pilnował miejsca zbrodni, o ile do takowej doszło.

Wnętrze willi rozczarowało Riveira. Spodziewał się nawiedzonego domu pełnego antycznych mebli przykrytych pożółkłym płótnem, a zamiast tego ujrzał rozmaite materiały budowlane i białe przestronne pomieszczenia zalane jasnym światłem.

Martín pokazał mu wejście do piwnicy. Szybko pokonali schody. Na dole, pośród sprzętu stolarskiego, worków z cementem i mnóstwa rur leżał gruz ze ścian działowych, które tego ranka wyburzyli robotnicy, żeby powiększyć pomieszczenie. Między tymi ścianami znaleźli obleczone w całun zwłoki.

Riveiro poczuł się jak intruz naruszający prywatną przestrzeń przodków. Powietrze było gęste, pełne drobinek kurzu widocznych nawet w słabym świetle. Znad całunu spowijającego zwłoki spoglądały na niego puste oczodoły wyblakłej jasnobrązowej czaszki. Wyglądała jak wyrzeźbiona z kości słoniowej.

– To same kości, sierżancie – powiedział Martín, wskazując miejsce niezasłonięte przez poźółkły, wytarty całun.

– Na to wygląda. Mam nadzieję, że niczego nie dotykaliście? – Riveiro nawet nie odwrócił się w stronę gwardzisty, zapatrzony w wyblakłe zawiniątko, jakim stała się istota spoczywająca teraz na szerokiej desce położonej na gruzie po ścianie, która była jej grobem.

– Oczywiście, że nie.

– Dobrze. Będziemy potrzebowali antropologa sądowego, bo patolog niewiele tu zdołała.

– Tak.

– I biologa sądowego.

– Do pobrania DNA? – zapytał Martín, zaskoczony. – To mogą być zwłoki z czasów wojny domowej. Licho wie.

Riveiro spojrział na mierzącego metr dziewięćdziesiąt gwardzistę o czarnej jak smoła brodzie i westchnął.

– Któż to wie, Martín, któż to wie. Chociaż szczątki wyglądają na ludzkie, może wcale takie nie są.

– Myśli pan, że to zwierzę? – odpowiedział gwardzista, ponownie spoglądając na zawiniątko. – Dla mnie to jest ludzka czaszka. Ale zczekajmy, co powie patolog.

– Tak, zczekajmy, co powie – przytaknął Riveiro. – Wyjdę porozmawiać z właścicielem domu. Znasz go albo kojarzysz z miasteczka?

– Nie, to raczej nikt stąd. Jakiś modniś. Markowe ciuchy, ładna buźka, fryzura jak u włoskiego modela. Widział pan samochód?

– Który? Tego czarnego fiata zaparkowanego przed domem?

– Tak. Facet na bank jest gejem, z takim autem i z takim wyglądem...

– Nie zapędzaj się tak. Przemawia przez siebie zazdrość. Jeszcze się okaże, że ci się podoba – zażartował Riveiro.

Nie dając Martínowi szansy na ripostę, odwrócił się na pięcie i wszedł na parter, żeby porozmawiać z Oliverem. Gwardzista udał się za nim.

Chociaż na zewnątrz panował upał, świeże powietrze przyniosło sierżantowi ulgę, jakby wyszedł z grobowca po pogrzebie, w którym uczestniczył wyłącznie z obowiązku. Zdziwił się, kiedy na lewo od domu, na skraju wyżej położonej części posiadłości odkrył kort tenisowy, z kępami trawy wyrastającymi z pęknięć na nawierzchni. Pochyły teren schodzący do morza został dobrze wykorzystany: na górnym tarasie kort, na kolejnym dom, a niżej basen w kształcie nerki, który okrążała ukryta w gąszczu wybujałej roślinności ścieżka schodząca do kamiennego domku i do plaży.

Oliver czekał przy basenie bez wody i chloru, od dawna nieczyszczonym, sądząc po zielonym osadzie i chwastach wyrastających z wyschniętego dna. Riveiro ruszył w jego stronę, bezceremonialnie taksując go wzrokiem. Facet był przystojny, dobrze zbudowany, ale bez obsesji na punkcie mięśni i wyglądu. Należał do osób, które nie wiedzieć czemu zawsze prezentują się dobrze, choć nie wkładają w to żadnego wysiłku; w zwykłych dżinsach i T-shircie wyglądają równie elegancko, co umundurowany Richard Gere w *Oficerze i dżentelmenie*. Chociaż Riveiro był w doskonałej formie, już dawno przekroczył czterdziestkę i na widok Olivera mimowolnie zatęsknił za energią i prezencją, jakie zapewnia młodość.

– Dzień dobry, sierżant Jacobo Riveiro z wydziału śledczego Gwardii Cywilnej – przedstawił się, wyciągając rękę.

- Oliver Gordon, właściciel domu.
- Jest pan Anglikiem? – zapytał Riveiro, słysząc jego nazwisko.
- Tak, ale też Hiszpanem. Mam podwójną narodowość. Ojciec jest Anglikiem, a matka Hiszpanką – wyrecytował Oliver, jakby przywykł do udzielania tych wyjaśnień.
- No proszę – stwierdził Riveiro, wyciągając z marynarki notatnik. – A na co dzień mieszka pan tutaj czy gdzie indziej? Gdzie indziej to znaczy w Anglii.

Oliver uśmiechnął się z sympatią, wbijając w sierżanta spojrzenie swoich niebieskich oczu.

– Spędziłem tu niejedne wakacje, niektóre w tym domu – odparł, wskazując głową willę. – Ale urodziłem się i mieszkam w Londynie. Trochę czasu spędziłem w Szkocji. Teraz zamierzałem się przenieść tutaj.

– Mówi pan bez akcentu, jak Hiszpan. To znaczy jak rodowity Hiszpan.

Oliver skinął głową, mile polectany.

– Tak, mama od zawsze mówiła do mnie po hiszpańsku. Studiowałem też filologię hiszpańską na University College w Londynie.

– Aha – bąknął Riveiro.

Był pod wrażeniem, jak zmieniła się intonacja i akcent Olivera, kiedy wypowiedział po angielsku nazwę uczelni. Zdziwiło go jego opanowanie, to, że patrzy mu prosto w oczy. Facet wydawał się sympatyczny.

– W porządku, przejdźmy do tego, co nas interesuje... Pańscy robotnicy znaleźli na dole zwłoki i jak się pan zapewne domyśla, musimy zbadać ich pochodzenie i ustalić przyczynę śmierci. Od kiedy ta willa należy do pana? To znaczy do pana

albo pańskiej rodziny – uściślił, uświadomiwszy sobie, że Oliver ma góra trzydzieści pięć lat.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Odziedziczyła ją moja matka, a po jej śmierci ja. Dlatego postanowiłem ją wyremontować i przerobić na hotelik przy plaży.

– A zatem... planuje pan przenieść się do Suances? Chodzi mi o to, czy... opuści pan Anglię, żeby tu pracować? – zapytał z niedowierzaniem Riveiro.

Oliver westchnął.

– Postanowiłem skorzystać z tego, że mama zostawiła mi dom, wyjechać do Hiszpanii i zacząć nowy etap.

Riveiro domyślił się, że w życiu Olivera doszło do jakichś zawirowań. Do tego nie trzeba było być detektywem. Nowy etap? Jeżeli facet nie miał żony i dzieci, przeprowadzka tak daleko od domu stanowiła dość radykalne rozwiązanie. „Każdy ma własne demony”, pomyślał.

– W porządku. Jest pan żonaty? Ma pan tu rodzinę?

– Nie. Nie jestem żonaty. Wydaje mi się, że w Suances mieszka mój daleki kuzyn, ale nie utrzymujemy kontaktu.

– Aha... Rozumiem, że pana rodzina mieszka w Anglii.

– Tak, mój ojciec, wujostwo i brat. Chociaż nie mam pojęcia, gdzie on teraz przebywa.

– On? Kto? Pański brat?

– Tak, Guillermo.

– Zaginął? – zdziwił się Riveiro. Sprawa zaczynała nabierać rumieńców.

– Nie do końca. Od czasu do czasu znika. Niekiedy na bardzo długo. Udział w Operacji Telic wywołał u niego... traumę –

wyjaśnił Oliver, spuszczać głowę, jakby nie potrafił znaleźć właściwego słowa.

– Operacji Telic? – zapytał Riveiro. Nie przestając notować, podniósł wzrok i zaskoczony spojrzął na Olivera.

Mężczyzna także przez moment patrzył zdziwiony na gwardzistę. W końcu zrozumiał jego pytanie i odpowiedział z uśmiechem:

– No tak, przepraszam. Tu pewnie nazwano ją inaczej. Chodziło mi o wojnę w Iraku. No wie pan.

– Oczywiście – odpowiedział Riveiro, obiecując sobie w duchu, że wieczorem poszuka informacji w internecie. – A od jak dawna nie ma pan wieści o bracie? – zapytał szczerze zaciiekawiony, chociaż ta sprawa najprawdopodobniej nie miała żadnego związku z jego śledztwem.

– Od półtora roku – odparł Oliver bez zastanowienia, z powagą, nie podnosząc wzroku.

– O kurczę, bardzo mi przykro. I naprawdę nie mają państwo pojęcia, gdzie może przebywać?

Oliver uśmiechnął się ze zmęczeniem.

– Z moim bratem nigdy nic nie wiadomo: Ibiza, Australia, Ameryka Południowa... Zależy, do jakiej organizacji pozarządowej akurat dołączy. Albo wspólnoty duchowej. Stawaliśmy na głowie, żeby go namierzyć. Ostatnim razem zniknął na dziewięć miesięcy, a potem pojawił się jak gdyby nigdy nic na Wigilii u naszej babci w Stirling.

– Wyobrażam sobie, jak muszą to przeżywać pańscy rodzice.

– Mama zmarła rok temu.

Riveiro miał ochotę dać sobie w twarz. Facet powiedział przecież, że odziedziczył willę po matce.

– Rzeczywiście, powiedział mi to pan już wcześniej, najmocniej przepraszam. – Sierżant przez moment się wahał. – Czy to znaczy, że... pański brat nie wie o śmierci matki?

– Przypuszczam, że nie. Nie udało nam się go zlokalizować, a on nie kontaktował się ani ze mną, ani z naszym ojcem. Ale to chyba nie ma nic wspólnego z tym, co znaleziono w willi? – stwierdził Oliver znużonym głosem.

– Nigdy nie wiadomo, chłopcze – odparł protekcjonalnie Riveiro. Ale facet miał rację, powinien skoncentrować się na tym, co widział w piwnicy. – Proszę mi w takim razie powiedzieć, dlaczego postanowił pan wyburzyć ścianki działowe.

– Chciałem tam urządzić pokój zabaw dla gości, którzy przyjeżdżają z dziećmi. Wie pan, maluchy trzeba czymś zająć. Przynajmniej kiedy pada – odparł Oliver uprzejmym tonem.

– To dobry pomysł – stwierdził Riveiro, w zamyśleniu bawiąc się notatnikiem. – Nie chcę uprzedzać wydarzeń, ale kiedy już dostaniemy raport od antropologa sądowego, będę potrzebował aktu nieruchomości, żeby ustalić, do kogo należał dom w okresie, kiedy zamurowano zwłoki – dodał, wskazując willę, po czym uściślił: – Oczywiście będziemy badali tę sprawę na własną rękę, ale bardzo by nam pomogło, gdyby udostępnił nam pan dokumenty będące w pana posiadaniu.

– Naturalnie, z tym że będzie pan musiał zaczekać kilka dni, bo całą dokumentację ma mój prawnik, a zdaje się, że chwilowo przebywa poza miastem. Zadzwońię do niego jeszcze dzisiaj i gdy tylko dostanę kopie dokumentów, natychmiast je panu przekażę.

– W porządku. Chciałbym pana jeszcze uprzedzić, że na dziś i prawdopodobnie także na najbliższe dni każemy wstrzymać

prace, żeby przeszukać willę i sprawdzić, czy ściany nie kryją czegoś więcej. Jak możemy się z panem skontaktować? Zakładam, że zatrzymał się pan gdzieś w okolicy.

– Tutaj.

– Tutaj? – zdziwił się Riveiro; willa była teraz miejscem pracy murarzy, stolarzy, hydraulików i elektryków.

Oliver uśmiechnął się rozbawiony.

– A dokładnie tam – powiedział, wskazując kamienny domek.

– To nadaje się do mieszkania?

– Owszem. Niech się pan nie da zwieść tej dżungli. Prace ogrodowe zostawiłem na koniec.

– Właśnie widzę. Ma pan przed sobą mnóstwo roboty.

– Na to wygląda. – Oliver znów się uśmiechnął, wodząc wzrokiem po terenie posiadłości. – Do tego jeszcze basen, garaż, wzmocnienia ścian... Dlatego w pierwszej kolejności zleciłem remont domku – powiedział, wskazując budynek – bo to tam będę mieszkał. Willę przerobię na typowy nadmorski hotelik, mam nadzieję, że urokliwy. Chciałbym też organizować tu pobyty dla osób uczących się hiszpańskiego albo angielskiego. Zobaczymy, jak będzie mi szło. Zrobiłem rozpoznanie lokalnego rynku i perspektywy są obiecujące. Zacząłem już przygotowywać kampanię reklamową, pracować nad stroną internetową i nawiązywać kontakty w sprawie ewentualnych wymian studentów. Chciałbym zacząć jak najszybciej.

Riveiro był szczerze zdumiony. Facet wszystko przewidział, co do milimetra. Poza jednym szczegółem: zwłokami.

– To znaczy, że mieszka pan w tej chacie? – zapytał, jakby chciał się upewnić, że dobrze zrozumiał.

Oliver znów odpowiedział swoim znużonym uśmiechem.

– Nie nazwałbym tego chatą... Dom jest całkiem spory, piętrowy. Nie widać tego, bo stoi w dole zbocza. W środku przypomina olbrzymią ekspozycję z Ikei. Chce pan zobaczyć?

Riveiro zamierzał przytaknąć, ale w tym momencie nadjechały trzy samochody. Od razu rozpoznał pasażerów. Z pierwszego auta wysiedli poczciwy korpulentny pięćdziesięciolatek – sędzia Jorge Talavera – oraz płowowłosa kobietka, tak drobna, że wydawało się, że zaraz porwie ją wiatr – patolog sądowa Clara Múgica. Drugim przyjechał sekretarz sądowy, który często działał w terenie i był trzecim członkiem komisji mającej dokonać oględzin miejsca zdarzenia przed zabraniem zwłok. Ostatni samochód przywiózł techników kryminalistyki z Santanderu. Riveiro ruszył im na spotkanie, przykazawszy Mazie, żeby spisał dane Olivera.

Przystąpili do żmudnej, niezwykle precyzyjnej procedury: fotografowania, nagrywania kamerą, pobierania odcisków palców i próbek oraz wstępnego badania małego, zimnego zawiniątka. Riveiro nie odstępował na krok patolożki. Chciał wiedzieć, ile czasu minęło od śmierci tej istoty. Miał niepokojące przeczucie, że te ludzkie szczątki tchnące bezgraniczną samotnością kryją w sobie tajemnicę owiniętą w zeszywniałe, postrzępione przez upływ czasu prześcieradła.

DZIENNIK (1)

Na wypadek gdyby czas w końcu zatarł echa przeszłości, jej energię i jej światło, rozmywając twarze tych, którzy wywarli wpływ na nasze życie, pozostawię pisemne świadectwo tego, co się wydarzyło. I co nadal się dzieje. Wiem, że znaleźli w Villa Marina tamto zawiniątko. Zdążyło mi już wypaść z pamięci, że je tam ukryto, by zagłuszyć sumienie. Ale każda historia ma swój początek; będziemy musieli trochę pozełgować po czasie, aby odkryć, jak się zaczęła ta i co stworzyło bestię.

Żeby zrozumieć jej istotę, wrócisz ze mną za rękę do przeszłości.

Czujesz? Zapach słonego powietrza, radosnej beztroski. Jest lato roku 1936.

Fale obmywają plażę na północy Hiszpanii, w ówczesnej prowincji Santander. Niestrudzenie liżą palony przez słońce piasek, na którym bawi się wesoło jakieś dwadzieścioro dzieci.

Plaża La Concha w nadmorskim miasteczku Suances po matczynemu przygarnia całe rodziny. Chroni je przed potężnymi, wzburzonymi falami Morza Kantabryjskiego, ukrywając się za wielkim kamienistym cyplem odgradzającym ją od otwartego morza. Stawia mu czoła inna plaża, bardziej dzika i śmielsza, którą miejscowi nazywają Los Locos – plażą szaleńców. Najwyższym punktem tego wąskiego, długiego półwyspu wrzynającego się w wodę jest Punta del Torco. Stoi tam stara latarnia, która co noc składa morzu przerywane świetlne pocałunki.

Suances odcina się na tle krajobrazu jako dwa oddzielne miasteczka. To na schodzącym do morza zboczach płaskowyżu jest gęsto zabudowane, ma swój ratusz, swój rynek, swój posterunek Gwardii Cywilnej. W tym na dole, przy estuarium, ciągnącym się wzdłuż portu i długiej plaży La Concha, panuje zupełnie inna atmosfera, bardziej wakacyjna. W pobliżu hali rybnej, łodzi i plaż wciąż wyrastają nowe hotele i letnie rezydencje.

Suances... Z zamkniętymi oczami mogę w myślach naskikować mapę tej okolicy. Na północy Morze Kantabryjskie, na południu Torrelavega, na wschodzie Miengo, na zachodzie Santillana del Mar. Historię pobliskich miejscowości – Hinojedo, Cortiguery, Ongayo, Puente Avíos i Tagle – ubarwiają dziesiątki legend.

Spójrz na dzieci, na nieruchomy piasek, na niskie wydmy porośnięte kępami trawy.

Rozpoznasz ją po tym, jak się porusza, jak patrzy. Ma prawie osiem lat. Jest taka niepozorna, taka drobna, taka szczupła. Kasztanowe włosy, długie, pofalowane, błyszczące. Ludzie zawsze się za nią oglądają, jakby wносиła ze sobą coś więcej niż samą fizyczną obecność. Nie jest olśniewająco piękna, ale jej uśmiech i jej spojrzenie uwodzą, hipnotyzują.

Ma na imię Jana. Wiem, że go nie zapomnisz.

Pochodzi z ubogiej rodziny. Skacze przez fale z trójką rodzeństwa, słońce złoci jej skórę. Ma w sobie wrodzoną elegancję, ukryte piękno, które inni podziwiają w milczeniu, próbując odczytać jej myśli z ogromnych zielonych kocich oczu.

To wyjątkowy dzień: dzień wakacji, prezent od ojca. Prawie przez godzinę wiosłował po estuarium San Martín de la Arena,

w którym mieszają się wody rzek Saja i Besaya, żeby zabrać ich na plażę La Concha. Za kilka godzin będą musieli wracać do Hinojedo, do pracy w pocie czoła, do rolniczej i robotniczej rutyny.

Nagle dzieje się coś dziwnego. Na plaży zapanowało poruszenie, które się szybko rozprzestrzenia. Przekazywane z ust do ust słowa za chwilę zamieniają ją w pustynię cierpliwie czekającą na lepsze czasy.

– Dzieciaki! Chodźcie tu! Natychmiast! – krzyczy rozpaczliwie jakiś mężczyzna.

To ojciec Jany – wysoki, szczupły, umięśniony, o orlim nosie i brązowych oczach, w których maluje się duma. Ma na imię Benigno. Dzieci bawią się w morzu, spoglądają na linię horyzontu, którą przerywa jedynie szara, skalista Wyspa Królików. Zaskoczone odwracają głowy. Jest za wcześnie na posiłek. Poza tym takim tonem nie woła się na obiad; nawet głupiec by się zorientował. Nieruchomieją wystraszone.

– Powiedziałem, że macie przyjść! David, Clara, Antonio... Jana! W tej chwili wyłaźcie z wody! – Mężczyzna krzyczy, idąc w stronę morza, czerwony, zmieniony na twarzy. – Wracamy do domu, natychmiast! No już! Szybko! Ubierajcie się! – woła, pokazując miejsce, gdzie rozłożyli ręczniki. I gdzie pospiesznie zbiera ubrania ich matka, Carmen, niskiego wzrostu, płowowłosa, o oczach w kolorze intensywnego błękitu i nieufnym spojrzeniu płochliwej myszki.

– Co się dzieje, tato? Co takiego zrobiliśmy? – pyta David, najstarszy z rodzeństwa. Wychodzi z wody i wystraszony podbiega do ojca.

- Nic. Nie zrobiliście nic złego. Do domu, bez gadania.
- Ale tatusiu! – odważa się wtrącić Jana. – Przecież dopiero co przyплыliśmy!
- Wracamy. No już!

Ojciec kończy dyskusję, pospieszenie łapiąc za ręce Antonia i Janę. Lodowatym spojrzeniem nakazuje Davidowi i Clarze, żeby poszli za nim. Wystraszone dzieci przyglądają się niewytłumaczalnemu exodusowi: wszystkie rodziny opuszczają plażę.

- Tato, ale co...?
- Wojskowi przeprowadzili zamach stanu. Upadła republika. Mamy wojnę. Rozumiecie? Wojnę. Pierdoloną wojnę domową. Niech szlag trafi Boga i wszystkie zastępy niebieskie – odpowiada mężczyzna, powstrzymując jęk rozpacz.

Z tamtego ranka 18 lipca 1936 roku Jana nie zapamięta skakania przez fale ani słonego zapachu zimnej, lekkiej morskiej piany, ale przerażenie i panikę malujące się na twarzach rodziców i pospieszny powrót do domu pożyczoną łodzią, której już nigdy więcej nie zobaczy.

Tamtego dnia wszystko, absolutnie wszystko, zalały milczenie, bieda i strach.

Kiedy przyglądam się zmarłemu, śmierć wydaje mi się wyruszeniem w drogę. Zwłoki robią na mnie wrażenie porzuconego ubrania. Ktoś sobie poszedł i nie był mu już potrzebny ten szczególny strój, który dotychczas nosił.*

Fernando Pessoa (1888–1935)

Clara Múgica, patolożka sądowa ze specjalizacją z antropologii, była dosłownie zachwycona, kiedy dowiedziała się, że w Suances znaleziono ludzkie szczątki. Nie dlatego, że przestała odczuwać empatię wobec ofiar zbrodni i innych tragicznych wydarzeń – po prostu już dawno nauczyła się oddzielać pracę od uczuć.

Rzadko miała okazję wykorzystywać w praktyce swoją wiedzę z zakresu antropologii, jako że zazwyczaj trafiały do niej świeże zwłoki o dość prozaicznym pochodzeniu: ofiary przemocy domowej, narkotyków lub ulicznych bójek. Wiedziała, że chociaż będzie musiała wysłać wszystkie próbki do Instytutu Toksykologii i Ekspertyz Sądowych w Madrycie, wreszcie miała możliwość zbadania szczątków kostnych, najprawdopodobniej ludzkich.

Po ponad godzinie spędzonej w pustej, niezamieszkannej willi sędziego pozwolił zabrać zwłoki. Clara unikała odpowiedzi

* F. Pessoa, *Księga niepokoju*, przeł. M. Lipszyc, Czuły Barbarzyńca, Warszawa 2013, s. 43.

na pytania sierżanta Riveiro o przybliżony czas zgonu, bawiąc się z nim w kotka i myszkę. Wiedziała, że w takich przypadkach łatwo o pomyłkę, a ona była do bólu dokładna – stawiała tylko rzetelne diagnozy, które mogła poprzeć naukowymi dowodami.

W drodze powrotnej z Suances do Santanderu obmyślała, co zrobi krok po kroku po przyjeździe do laboratorium w Kantabryjskim Instytucie Medycyny Sądowej. Wreszcie będzie mogła wykorzystać wiedzę, którą zdobyła rok wcześniej podczas pięciodniowej wizyty w jej zdaniem najlepszym na świecie zakładzie antropologii sądowej, argentyńskim EAAF. Miała wrażenie, że w ciągu tygodnia spędzonego w Buenos Aires nauczyła się znacznie więcej niż podczas całego roku studiów.

Przy okazji tego krótkiego seminarium zrobili sobie z mężem miesięczne wakacje. Zwiedzili Argentynę, a potem polecieli do Nowego Jorku i Waszyngtonu. Po drodze zatrzymali się w Knoxville, w południowym stanie Tennessee, żeby odwiedzić ośrodek badań antropologicznych zwany potocznie trupią farmą. Clara wybrała się tam bardziej z ciekawości niż dlatego, że mogłoby jej to jakoś pomóc w pracy.

– Co tam knujesz? Jesteś podejrzanie milcząca – stwierdził sędzia Talavera, który odwoził ją do Santanderu.

W oczach Clary, brązowych i ruchliwych jak u wiewiórki, pojawił się uśmiech.

– My, kobiety, jesteśmy z natury makiaweliczne.

– Tak, wiem coś o tym. Mam w domu aż trzy – odparł Talavera, mając na myśli żonę i dwie prawie nastoletnie córki.

– Biedactwa, tylu facetów na świecie, a trafiłeś im się właśnie ty – zażartowała Clara. Znali się z sędzią od siedmiu lat i byli przyjaciółmi; od czasu do czasu razem z partnerami bywali u siebie w domach na kolacji.

– Ależ dowcipna ta nasza pani archeolog.

– Jeśli już, to antropolog.

– Jasne, jasne. Archeolog czy antropolog, spędzasz dnie, grając w karty z umarlakami. Powiedz, o czym tak intensywnie myślałeś? O wieku szczątek? Pochodzą z czasów wojny domowej?

Clara z wahaniem pokręciła głową.

– Nie wiem, raczej nie są aż takie stare... Trzeba będzie poczekać na wyniki z laboratorium, ale wygląda na to, że leżały w ścianie przez kilkadziesiąt lat. Mam nadzieję, że robotnicy niczego nie zniszczyli, kiedy zaczęli rozwijać tłumok.

– Tłumok?

– Tak, nie widziałeś? Szkielet był szczelnie owinięty starymi prześcieradłami, robotnicy zaczęli je odwijać, przestali dopiero, kiedy wyłoniła się twarz.

– Chciałaś powiedzieć: czaszka – sprostował Talavera tonem nauczyciela poprawiającego uczennicę.

Wnętrze samochodu wypełnił perlisty śmiech Clary.

– Racja, wysoki sędzie: czaszka.

– I co, będziesz mogła dokładnie ustalić czas zgonu? To znaczy z jakim marginesem błędu? Miesiąca, roku, pięciu lat?

– To nie takie proste. Zawsze to samo. Jesteś jak gliniarze. Kiedy pojawiają się zwłoki, w pierwszej kolejności pytają: „od jak dawna tu są?”. Nie kto to jest, jaka jest jego historia. Ciekawe.

Talavera przez moment się zastanawiał.

– To kolejny etap.

– Wiem. No więc myślałam o notatkach, które zrobiłam w zeszłym roku podczas wizyty na trupiej farmie w Knoxville.

– Gdzie? Na trupiej farmie? Nic mi o tym nie opowiadałaś. To tak spędzasz urlop? O rany, nie wiem, jak ten Lucas z tobą wytrzymuje. Biedny facet pewnie myśli, że któregoś dnia zanurzysz go w formalinie – powiedział Talavera.

W odpowiedzi na docinki sędziego Clara z uśmiechem pokręciła głową.

– Przypominam ci, że Lucas też jest lekarzem.

– Tak, ale od żywych, tych, co chodzą i tak dalej.

Clara wykrzywiła twarz w grymasie.

– Odpowiadając na twoje pytanie: tak, zatrzymaliśmy się na parę dni w Knoxville, a trupia farma to ośrodek antropologiczny specjalizujący się w badaniach nad procesem niszczenia i rozkładu ludzkich zwłok w zależności od ich pozycji.

– Na przykład? Zwłoki stojące na rękach? Zwłoki popijające pod ziemią przedpołudniową kawkę?

– Widzę, że dopisuje ci dziś humor. Otóż dokładnie tak. Zwłoki umieszczane są w najprzeróżniejszych pozycjach i środowiskach: w sadzawce, w samochodzie, pod ziemią, na ziemi, nagie, ubrane... Zdobyte w ten sposób informacje są niezwykle cenne dla kryminalistyki. Dzięki nim wiadomo, po jakim czasie zwłoki zaczynają się rozkładać w zależności od środowiska. Zdziwiłyby cię wyniki tych badań i to, ile błędnych diagnoz udało się sprostować dzięki eksperymentom prowadzonym na trupiej farmie podlegającej Uniwersytetowi Tennessee.

- Uniwersytetowi?
- Owszem. Działka o powierzchni hektara, na której pracują antropolodzy, należy do Uniwersytetu Tennessee.
- Kurde, niezłe. Kto w ogóle na coś takiego wpadł? Na pewno jakiś twój kuzyn.
- Na pewno nie. Mój kuzyn chyba nigdy nie wyjechał z Palencii. Wpadł na to pewien patolog sądowy, który w latach osiemdziesiątych pomylił się przy ustalaniu wieku kości. O jakieś sto lat. Zwłoki pochodziły z czasów wojny secesyjnej. Wtedy doszedł do wniosku, że jeżeli chcą mieć wiarygodne dane, powinni przestać eksperymentować ze świniami i przerzucić się na ludzi.
- Nie wierzę! Jak to ze świniami?
- Bo z fizjologicznego punktu widzenia one najbardziej przypominają człowieka. Wystarczy spojrzeć na siebie – powiedziała Clara, beczelnie patrząc na brzuszysko Talavery.
- Sędzia z uśmiechem zmarszczył czoło.
- Zgoda, ogłaszam zawieszenie broni, pani doktor. Za pięć minut będziemy w twoim laboratorium. Na pewno w drzwiach czeka na ciebie Frankenstein – dodał, skręcając na rondzie. – I co, odkryli coś na tej farmie czy porzucają tam zwłoki w stylu *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną*?
- Clara westchnęła, kolejny raz ignorując sarkastyczną uwagę sędziego.
- Odkryli bardzo dużo i wciąż odkrywają. Dzięki nim wiemy na przykład, że zwłoki rozkładają się szybciej latem niż zimą i że ich rozpad przebiega inaczej w zależności od tego, czy są ubrane, czy nagie.

– Wielkie mi odkrycie. Nawet ja bym się tego domyślił.

Clara ciągnęła dalej, niezrażona komentarzem Talavery:

– Wiemy też, że można codziennie przechodzić w pobliżu trupa i nawet się nie zorientować, bo odór zwłok rozchodzi się w promieniu zaledwie dziesięciu metrów.

Talavera otworzył usta, żeby rzucić kolejną uwagę, ale Clara nie dała mu dojść do słowa.

– Wiemy, wysoki sędzie, że im głębiej zakopane jest ciało, tym dłużej się rozkłada; że zwłoki osoby otyłej – znów spojrzła na brzuch sędziego – ulegają zeszkieletowaniu szybciej niż zwłoki osoby szczupłej, tracąc do osiemnastu kilo dziennie; że ciało może przetrwać w niemal nienaruszonym stanie całą zimę i wiosnę, po czym ulec zeszkieletowaniu w ciągu tygodnia upałów... Wyobraź sobie te wszystkie robaki. Pierwsze pojawiają się...

Sędzia wszedł jej w słowo:

– Dobrze, już dobrze, na dziś mi wystarczy. Kurna, przez ciebie zaraz się porzygam. Spójrz, już dojechaliśmy – powiedział, parkując na drugiego, żeby wysadzić koleżankę przed instytutem medycyny sądowej.

– Mięczak z ciebie – odparła Clara z uśmiechem, otwierając drzwi auta.

– Wiem. Zadzwon, kiedy będziesz coś miała, dobra?

– Dobra, dam ci znać.

Clara pospiesznie zamknęła drzwi samochodu i popędziła do biura. Szczątki małej istotki wkrótce miały dotrzeć do laboratorium, a ona musiała jeszcze dokończyć dwa sprawozdania dla sądu. Wszyscy wyobrażali sobie, że całymi dniami rozcina

zwłoki jak w serialu *CSI*, ale prawda była taka, że większość czasu spędzała w gabinecie, pisząc raporty, zatwierdzając materiały dowodowe i nadzorując pracę laboratorium.

Dwie godziny później, dojadając kanapkę z tuńczykiem i jakimś niezidentyfikowanym sosem – uprzejmość baru szpitala uniwersyteckiego Marquésa de Valdecilli – Clara Múgica weszła do zakładu patologii sądowej mieszczącego się na parterze dawnej przyszpitalnej kostnicy, żeby zbadać zwłoki znalezione w Suances. Idąc korytarzami, jak zwykle pomyślała z żalem, że jej kuchnia mogłaby być chociaż w połowie tak czysta i sterylna jak pomieszczenia laboratoryjne zastawione regałami pełnymi kości udowych, piszczeli, szczęk i innych ludzkich szczątków. Niektóre znajdowały się w słoikach, inne leżały luzem. Stanowiły materiał badawczy albo dowody w sprawach sądowych.

Wreszcie stanęła przy stole sekcyjnym, na którym leżało niemowlę. Było tak maleńkie, jakby nie przeżyło na świecie nawet chwili. Na Clarę czekali asystenci, którzy mieli pomagać jej tego popołudnia: Pedro Míguez i Almudena Cardona. Był też Ulloa, gwardzista z laboratorium kryminalistycznego, nieruchomy, niemy cień. Zawsze stał z boku i praktycznie się nie odzywał, niczym duch przysłany do pilnowania zwłok, mogli więc pracować tak, jakby go nie było. Clara przywitała się ze wszystkimi i poprosiła Mígueza o przygotowanie pojemnika z wrzącą wodą, do którego wrzucą kości, żeby usunąć miękkie tkanki przylegające do szkieletu, zanim przystąpią do badania.

Patolożki zabrały się za rozwijanie poźółkłych, zeszywniałych, poprzecieranych prześcieradeł, którymi obleczono malutkie zwłoki. Usunęły pierwszy kawałek płótna, a kiedy przystąpiły do odwijania kolejnego, nagle znieruchomiały. Nie spodziewały się czegoś takiego. Jako pierwsza zareagowała Cardona.

– Widzisz to, co ja?

– Nie do wiary – odparła zdumiona Clara.

– Co to jest? Jakaś figurka Majów? – zapytała Cardona, z niedowierzaniem marszcząc czoło.

Clara trzymała w dłoniach dziwną figurkę w odcieniu wyblakłej zieleni. Ulloa, który zazwyczaj nie ruszał się z kąta sali, podszedł, żeby ją obejrzeć. Była wielkości kciuka, przedstawiała ciało tubylca z piórami na głowie i przy pasie, o nieproporcjonalnie wielkich, otwartych ustach, z których wychodziły albo do których wchodziły dwa wijące się węże.

– Tak... – zaczęła Clara. – Rzeczywiście wygląda na aztecką czy inkaską, ale to niemożliwe. Zwyczajnie niemożliwe. Dom przy plaży La Concha w Suances, w którym zamurowano zwłoki, ma jakieś osiemdziesiąt lat. Góra sto. Trzeba będzie to wysłać do konserwatora zabytków – powiedziała, spoglądając najpierw na Ulloę, na twarzy którego nie malowały się żadne emocje, a potem na Cardonę. W końcu ponownie skierowała wzrok na groteskową figurkę, która zdawała się z nich kpić.

– Wygląda jak pamiątki z Riviera Maya, które sprzedawali w Tulum albo przy plaży Carmen, już dokładnie nie pamiętam – odpowiedziała Cardona, która dwa lata wcześniej była ze swoim chłopakiem na tygodniowych wczasach w Meksyku.

Clara Múgica w milczeniu skinęła głową, przyglądając się z uwagą niepokojącej figurce przypominającej jakiś pradawny, telluryczny symbol.

– Spójrz – wskazała koleżance – wygląda na to, że był przywiązany do nitki, która wypadła z prześcieradła. Może to jakiś wisiołek.

– Dość paskudny wisiołek – odparła z uśmiechem Cardona, marszcząc brwi.

Clara także się uśmiechnęła.

– Owszem, ten zielony smerf nie jest zbyt urodziwy – powiedziała, z namysłem przyglądając się figurce. – Będzie też trzeba sprawdzić, z czego jest zrobiony... bo to chyba raczej nie szmaragd. Zielona barwa... Czyżby oliwiny? Powinien go obejrzeć jakiś ekspert. – Clara rozmawiała sama ze sobą. Nie potrafiła stwierdzić, co trzyma w rękach, z jakiego okresu pochodzi figurka, z czego jest zrobiona, a tym bardziej dlaczego umieszczono ją przy zwłokach. Jedyną rzeczą, której była pewna, to fakt, że ma ona związek ze szczątkami.

Ulloa, jak zwykle bez słowa, z uwagą wpatrywał się w tajemniczy zielony przedmiot. Stwierdził, że to dziwny pomysł wsadzać coś takiego do całunu. Świat jest pełen wariatów.

Tymczasem patolożki dalej ostrożnie rozwijały prześcieradła. Nie natknęły się już na więcej niespodzianek. W środku znajdowały się małe zwłoki, które zanim zamieniły się w szkielet, ważyły góra dwa i pół kilograma. Nadal były obleczone skórą, twardą, suchą i popękana.

– Zauważyłaś? – zapytała szefową Cardona. – Zwłoki są zmumifikowane!

– Tak – przytaknęła w zamyśleniu Clara. – Co skłania mnie do wniosku...

– ...że zostały wystawione na działanie wysokiej temperatury, prawda? – pospiesznie dokończyła Cardona, chociaż w przeciwieństwie do koleżanki nie była specjalistką od antropologii sądowej.

Clara uśmiechnęła się, słysząc jej komentarz.

– Niewykluczone. Ale myślałam raczej o tym, że zwłoki należą do noworodka, który urodził się martwy albo któremu ktoś pozwolił umrzeć z głodu i z zimna.

– Skąd taki wniosek?

– Bo ciała noworodków to jeden z nielicznych wyjątków od zwykłego procesu rozkładu. Nie mają w środku flory bakteryjnej napędzającej proces gnilny. Ciało, które nigdy nie przyjmowało pokarmów, w sposób naturalny się zmumifikuje, jeżeli pozostanie we względnie suchym środowisku.

– Aha – bąknęła Cardona, zła, że sama na to nie wpadła.

– Oczywiście najprawdopodobniej było tak, jak mówisz, i zwłoki zostały wystawione na działanie wysokiej temperatury – wsparła ją Clara. – Może w pobliżu ścianki, w której zostały zamurowane, znajdował się kominek albo kocioł, chociaż nie zauważyłam niczego takiego w piwnicy. – Patolożka przerwała, spoglądając na zwłoki. – Biedne maleństwo – dodała szeptem.

Czterdziestoosmioletnia Clara Múgica nie miała dzieci. Nie mogła ich mieć z powodu mięśniaków usuniętych już prawie dwadzieścia lat temu podczas dwóch operacji, które zniszczyły jej macicę. Uznała, że jest szczęśliwa sama ze sobą, ze swoim mężem i jego trzema stukniętymi siostrzenicami. Instynkt

macierzyński dał o sobie znać tylko raz, przelotnie i niezbyt natarczywie, w momencie, kiedy dowiedziała się, że jest bezpłodna. Ale tamtego popołudnia w laboratorium, stojąc przy stole sekcyjnym, na którym spoczywały zwłoki noworodka obojętne na tajemnicę dziwnej zielonej figurki, poczuła ostry, przenikliwy ból i zajęła się małym ciałkiem tak czule i delikatnie, jakby kołysała je w ramionach.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Lato. Obecnie.	9
(<i>Sierżant Riveiro zaparkował...</i>)	15
Dziennik (1)	27
(<i>Clara Múgica, patolożka...</i>)	31
Dziennik (2)	42
(<i>Oliver czekał...</i>)	49
Dziennik (3)	64
(<i>Notatka z „El Diario Montañés”...</i>)	70
(<i>Sierżant Riveiro czekał...</i>)	83
Dziennik (4)	93
Dziennik (5)	96
(<i>Domek przy Villa Marina...</i>)	100
Dziennik (6)	117
(<i>Sierżant Riveiro miał...</i>)	123
Dziennik (7)	137
(<i>Valentina Redondo poczuła...</i>)	146
Dziennik (8)	168
(<i>Otrucie</i>)	179
Dziennik (9)	197
(<i>Oliver Gordon obserwował...</i>)	205

Dziennik (10)	224
<i>(Jacobo Riveiro siedział...)</i>	235
Dziennik (11)	259
<i>(Rynek Santillany del Mar...)</i>	264
Dziennik (12)	276
<i>(Piątek, 12 lipca...)</i>	295
Dziennik (13)	308
<i>(Jana przez całą noc...)</i>	318
<i>(Zmierch zapowiadał się...)</i>	323
Dziennik (14)	347
<i>(Sobota, 13 lipca...)</i>	349
Dziennik (15)	361
<i>(Sobotnie popołudnie...)</i>	369
<i>(Niedziela, 14 lipca...)</i>	377
Dziennik (16)	391
<i>(Poniedziałek, 15 lipca...)</i>	405
Dziennik (17)	408
<i>(Wyniki badań DNA...)</i>	413
Dziennik (18)	434
<i>(Czas mijał...)</i>	436
Podziękowania	457
Ciekawostki	459